Patrycja Balcerzak

SZEŚĆ PRZESZKÓD



Patrycja Balczerzak
„Sześć przeszkód”

Copyright © by Patrycja Balczerzak, 2015
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o., 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski
Projekt okładki: Robert Rumak
Korekta: Paweł Markowski
Ilustracje na okładce: @ dp3010; Matthew Cole – Fotolia.com

ISBN: 978-83-7900-371-6

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
ul. Chopina 9, pok. 23, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 665 955 131
http://wydawnictwo.psychoskok.pl
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Spis treści

Rozdział I 7
Ostatni szczęśliwy dzień

Rozdział II 17
List bez nadawcy

Rozdział III. 27
Ten drugi gitarzysta

Rozdział IV. 37
Pani Dunaj

Rozdział V 48
Druga zagadka

Rozdział VI. 68
Tożsamość Damiana Dunaja

Rozdział VII 80
Randka trzech par

Rozdział VIII 90
Witamy u Markowskich

Rozdział IX. 106
Prawda wychodzi na jaw

Rozdział X 116
Dziennik Francesci

Rozdział XI **135**
W imię przyjaźni

Rozdział XII **147**
Sposób na palmę

Rozdział XIII **161**
Konkurs młodych talentów

Rozdział XIV **171**
Wyznania Blondiego

Cześć, jestem Nila. Pewnie nigdy nie słyszeliście o takim imieniu, zresztą i ja bym zapewne nie słyszała, gdyby nie jeden nudny wieczór z życia moich rodziców.

Zakochani państwo Plisz siedzieli wygodnie przed kominkiem, rozkoszując się smakiem gorącej czekolady i ekscytując niedaleką wizją posiadania najcudowniejszego bobasa na świecie (przynajmniej ja tak to sobie wyobrażam), kiedy to zdali sobie sprawę, że ten cudowny bobas nie ma jeszcze imienia. No i się zaczęło: najpierw mama była za Anią, ale tata stwierdził: *To zbyt banalne!* i upierał się przy Amandzie, kiedy wpadła na imię Małgosia, ojciec obstawał przy Marlenie, potem były jeszcze Daria, Dominika, Adela, Kasia, Zosia, Magda oraz Iza. W końcu, gdy mama zaproponowała, żeby dać mi na imię Stefania, po babci, tata wzdrygnął się i rzekł: *Dość! Rozstrzygniemy to w inny sposób!,* po czym czmychnął do kuchni. Wrócił z babcinym kalendarzem z szarymi kartkami, wiecie, takim, który zwykle wisi na ścianie w jadalni i z każdą wyrwaną stroną wzbogaca nas o nowe przysłowie czy przepis.

– Losuj – polecił mamuśce, niezwykle dumny ze swego pomysłu. Ta, początkowo sceptyczna wobec idei wybierania dziecku imienia na zasadzie dziecięcej zabawy, w końcu się zgodziła. Ojciec przewracał kartki kalendarza, a mama zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech… i położyła rękę na kartce z datą 19 września. Moi rodzice mieli więc do wyboru, aby nazwać mnie January, Teodor, bądź… Nila. I tak właśnie,

w wyniku przypadku, w przeciągu mniej niż jednej sekundy, stałam się tym, kim teraz jestem – Nilą Plisz.

Przejdźmy jednak do sedna. Pewnie chcielibyście wiedzieć, dlaczego zanudzam Was jakąś nieistotną historią etymologii mojego imienia. Otóż, kiedy teraz o tym pomyślę, być może nie było to aż tak przypadkowe, jak zawsze sądziłam. Może miało w pewien sposób zapowiadać to, co niedługo potem mi się przydarzyło. Historię, która poniekąd zmieniła moje życie.

Nila pochodzi bowiem od greckiego słowa *neilos*, co oznacza rzekę. Ta zaś symbolizuje między innymi barierę, coś nie do przejścia. Przeszkodę tak dużą, że wiąże się z wieczną stratą.

Teraz wiem, że wybieramy osoby, jakie napotkamy na swojej drodze, ale nie wybieramy tego, co nas spotka z ich strony – jesteśmy na to skazani.

Rozdział I

Ostatni szczęśliwy dzień

Dwunasty czerwca, dziesiąta rano. Kiedy budzik zadzwonił setny raz, w końcu rozchyliłam klejące się oczy (nie bez wielkiego trudu i niechęci) i zdałam sobie sprawę, jak bardzo jestem spóźniona na najważniejsze dla mnie spotkanie w roku. Co prawda, i tak pobiłam swój rekord jeśli chodzi o poranne wstawanie, zwłaszcza, że była SOBOTA (Tak, moi drodzy, nastawiłam budzik–mordercę w sobotę. Szczyt masochizmu został osiągnięty), jednak nie mogłam sobie pozwolić na tradycyjne weekendowe leniuchowanie w łóżku nawet przez sekundę dłużej. Ubrałam się więc czym prędzej i zbiegłam na dół.

– Niluniu, przygotowałam ci śniadanie! Zjedz wszystko, dobrze? Choć dzisiaj. W końcu musisz coś jeść! Ostatnio bardzo się o ciebie martwię… – mama przywitała mnie swoim rytualnym wywodem.

– Nie teraz. Naprawdę, nie mam czasu. I tak już jestem spóźniona – rzuciłam z wdzięcznością, po czym pocałowałam Magdę w policzek i wybiegłam z domu, nawet się nie uczesawszy. Była kochaną mamą. Tym chętniej to mówię, że większość znanych mi osób przyznaje, iż jestem do niej podobna. Choć może nie z wyglądu. Łączy nas tylko kolor włosów – obie jesteśmy szatynkami, ale ja mam troszkę dłuższą

czuprynę. Za to zielone oczy i brak tyłka mam z pewnością po ojcu. Dobrze, że do tego pakietu nie doszły jeszcze wąsy, bo wyglądałabym jak moja ciotka Genowefa.

Mijałam ulice Orłowa tak szybko, jak tylko mogłam. Kopernika, Matejki… ach, wreszcie! Jest! Przede mną ukazał się stosunkowo duży, wybudowany jakieś czterdzieści pięć lat temu, komunistyczny budynek. Ni to blok, ni kamienica. Najpierw służył jako szkoła podstawowa, lecz później przeznaczono go do bardziej szczytnych celów: stał się domem dziecka. Co prawda, przykre jest to, że w ogóle nastała taka potrzeba, jednak w przeciwnym razie nie poznałabym…

Na murku przed budynkiem siedział chłopiec o ciemnej karnacji. Ta cecha jego egzotycznej urody była najłatwiej zauważalna i ta, tak naprawdę, zwróciła na niego moją uwagę. Kiedy się podeszło bliżej, uwagę przykuwały bystre, brązowe oczy, pasujące jak ulał do ciemnych, choć nie czarnych, włosów. Ubrany był dobrze, a przynajmniej najlepiej jak było można. Ciuchy zapewniane przez opiekunki sierocińca może nie wyróżniały się ponadprzeciętną jakością, ale innych Daniel nie chciał. Wiele razy proponowałam mu wspólne zakupy lub chociażby drobną pożyczkę, lecz za każdym razem stanowczo odmawiał, powołując się na swą dumę.

Jednak to coś, co czyniło go wyjątkowym, nie miało nic wspólnego z wyglądem. (No, może ewentualnie ze słodkimi dołeczkami w policzkach i nonszalanckim uśmiechem…). Daniel, jak na swój wiek, odznaczał się wyjątkową dojrzałością. Ciężka sytuacja życiowa zmusiła go do szybkiego usamodzielnienia się, przez co musiał nauczyć się brać za siebie odpowiedzialność o wiele szybciej od swoich rówieśników.

Miało to swoje plusy i minusy, jednak ostatecznie zadecydowało o tym, że zakochałam się w nim po uszy. Imponował mi swoim zaangażowaniem we wszystko oraz hartem ducha, swoją wewnętrzną siłą.

Daniel Markowski zeskoczył z murka i uśmiechnął się szeroko. Jego dołeczki sprawiały, że się rozpływałam. Natychmiast odwzajemniłam uśmiech, szczerząc zęby od ucha do ucha, i wskoczyłam mu w ramiona. Górował nade mną kilka centymetrów.

– Hej, i jak się czujesz? – spytał, bacznie mi się przyglądając. – Niech ci nawet przez myśl nie przejdzie, aby być chora w swoje urodziny. Za bardzo się namęczyłem, żeby to wszystko dla ciebie przygotować.

Parę dni temu złapało mnie jakieś przeziębienie, więc obawiałam się, że będę zdmuchiwać świeczki, smarkając i kaszląc na wszystkich wokół, jednak dzisiaj czułam się już jak nowo narodzona.

– Och, trzymajcie mnie! Robi mi się słabo, ale tylko słuchając twoich przewrażliwionych komentarzy – odpowiedziałam, demonstracyjnie przykładając dłoń do czoła, po czym wybuchnęłam śmiechem, bo mój chłopak złożył usta w dzióbek, udając obrażonego za tak podłe potraktowanie jego troskliwości. Wkrótce jednak i on nie wytrzymał. Uśmiechnął się i wciągnął mnie na murek.

Spojrzałam na plac przed sierocińcem i przytrzymałam się Daniela. Zaparło mi dech w piersiach. Na całej długości podwórza porozrzucane były róże. Najwięcej leżało czerwonych i białych, ale gdzieniegdzie przyjemnie łechtały wzrok także herbaciane i bordowe różyczki.

– Nie dałem żółtych, bo to ponoć kolor zazdrości. Wszystkiego najlepszego, starucho – rzekł, odgarniając mi włosy z twarzy. – Muszę ci powiedzieć, że mimo skończonej piętnastki trzymasz się prawie tak dobrze jak ja…

Spojrzałam wyzywająco na mojego romantyka.

– *Prawie* tak dobrze? W takim razie sprawdźmy, czy potrafiłbyś mnie złapać, panie Mądraliński!

Przystojny żartowniś ruszył za mną w pościg. Oczywiście, schwytanie mnie nie zajęło mu więcej niż kilkanaście sekund. Próbowałam jeszcze uwolnić się od jego uścisku, aby nie wyjść na słabą, jednak skończyło się na tym, że przewróciliśmy się na trawę, gniotąc piękne róże. Poczułam miękki dotyk Daniela na ramieniu. Przejechał ręką w dół, aż do mojej, po czym delikatnie chwycił mnie za nią. Dwie sekundy później jego usta dotykały już moich, a serce biło nadzwyczaj mocno. Tamta chwila była idealna. Tamto miejsce, tamten dzień, tamten pocałunek… tamten chłopak. Wtedy właśnie ostatecznie zdałam sobie sprawę, że nie chcę, by Daniel mnie opuszczał. Kiedykolwiek.

Jakiś czas później z sierocińca wyszła gromadka dzieciaków. Dwóch starszych chłopaków trzymało transparent z napisem: *Sto lat, Nilu!!! Życzą Daniel i Spółka*. Cztery małe dziewczynki i dwóch chłopców w wieku mojego brata Marcina podbiegło bliżej. Podekscytowani, złożyli mi życzenia i powiedzieli ułożone przez siebie wierszyki. Zacytuję jeden, który szczególnie przypadł mi do gustu. Mówiło go niskie, blondwłose dziecko, którego zdenerwowanie podczas występu mnie wzruszyło. Daniel musiał się nieźle napocić, aby z tych niesfornych małolatów zrobić aktorów. A oto, jak przemawiał ten słodki, mały artysta:

Daniel to jest świetny gość
Opiekunce daje w kość
Ale dla mnie jest jak brat
Z którym bym przemierzył świat
Lecz niestety dobrze wiem
Że za dużo chyba chcem
Bo on Nilkę swoją ma
Której cały świat swój da
A więc proponuję dziś:
Czy chcesz z nami w świat dziś iść?

Nie będę was zanudzać, opisując przebieg całej uroczystości. W każdym razie, słuchając wszystkiego, co dla mnie przygotowali wychowankowie domu dziecka, łzy nabiegły mi do oczu. Maluchy naprawdę przejęły się powierzonym zadaniem.

Podczas występów Daniel miał niewyraźną minę. Niepewnie spoglądał w moją stronę, przygryzając dolną wargę i bawiąc się palcami u rąk. Pierwszy raz widziałam go tak zestresowanego. Czy to możliwe, by on, zawsze bardzo pewny siebie, teraz martwił się o to, czy spodoba mi się jego performance?

– No więc… może w końcu mi powiesz, co o tym myślisz, Nilu? – spytał organizator całego przedstawienia, gdy siedzieliśmy wieczorem na murku, jedząc pizzę na kolację. – Jak oceniasz moją inwencję twórczą?

– Tfoja infencja żaszługuje na szósztkę sz pluszem! Jeszteś fszpaniały – przyznałam, wpychając do ust ostatni kawałek. – Kaszda dziefczyna chciałapy mieć takiego chłopaka…

Ledwo wypowiedziałam te słowa, a mych uszu doszła riposta.

– Naprawdę, mój żarłoku? – uśmiechnął się, jak zwykle powalając mnie swymi dołeczkami. – W takim razie muszę wyruszyć na łowy. W końcu skoro mogę mieć wszystkie laski, to…

– Chypa szartujesz?! – zmroziłam go spojrzeniem, tak dla zasady. – Mókpyś mnie żosztafić? – wybełkotałam, mimo że znałam dobrze odpowiedź. On zaś przysunął się bliżej, przytulił mnie i wreszcie szepnął: *Nie. Oczywiście, że nie.*

Dalsza część wieczoru minęła nam na dyskutowaniu o wspólnych wycieczkach, najnowszych plotkach ze szkoły, ubezpieczeniu tylnej części ciała Jennifer Lopez, następnie o najnowszym filmie z Orlando Bloomem, po czym nasza rozmowa zeszła na tematy zdecydowanie nie przyziemne, a mianowicie na UFO. Swoją drogą, biedni kosmici, tylu ludzi na Ziemi stroi sobie z nich żarty, a oni nawet o tym nie wiedzą! Nic dziwnego, że ilekroć w filmach odwiedzają naszą planetę, chcą ją zniszczyć!

* * *

Nazajutrz obudziłam się z uśmiechem na ustach, choć niebo było wprost szarofioletowe, a obfity deszcz zapowiadał nadejście lata. Mój kochany Czarnulek, sześcioletni Marcin, także miał dobry humor, więc śniadanie zakończyło się strzelaniem w siebie płatkami kukurydzianymi z łyżek i ochrzanem od taty.

– Co wy robicie?! Czy w tym domu kiedyś zapanuje spokój?! Nigdy się nie nauczycie kultury, co?!

Marcin, który – całe szczęście – odziedziczył charakter po mnie i po mamie, szepnął:

– Nigdy… naprawdę nigdy…

– Wy nawet nie macie pojęcia, co to jest odpowiedzialność! Tym bardziej, co to jest porządek!

– kontynuował wywód rodzinny tyran, a na to Czarnulek z poważną miną: *A co to takiego?*

Nie wytrzymałam. Wybuchnęłam śmiechem. Całe szczęście, do pokoju weszła mama i uchroniła nas przed kolejnymi pouczeniami taty. Gdybym jednak mogła przewidzieć, jaką wiadomość przynosi, wolałabym już oberwać podwójnie, uwierzcie mi.

– Kochanie, dzwoni pani Knur z domu dziecka. Pytała się, czy nie ma u nas Daniela. Odpowiedziałam jej, że nie, więc poprosiła o zamienienie z tobą paru słów.

Podbiegłam do telefonu i gwałtownie chwyciłam za leżącą obok słuchawkę.

– Tak?

– Nila? To ty? – zachrypiała dyrektorka – Och, to dobrze, że cię zastałam. Powiedz mi, proszę, nie wiesz, gdzie jest Daniel? Dzisiaj rano… bardzo wcześnie, koło szóstej czy siódmej… wyszedł z ośrodka i do tej pory go nie ma.

– Ja… nie mam pojęcia, proszę pani… – odrzekłam.

– Bo widzisz… pozostałe dzieciaki mówią, że nawet nie wrócił na noc. Rankiem po prostu wziął swoje rzeczy i wyszedł…

Zapadła cisza. Przedłużała się i przedłużała, aż w końcu zaczęłam łapać, o co chodzi pani Knur.

– Posłuchaj, Nilu… on był z tobą wczoraj wieczorem. – Urwała, wyczekując odpowiedzi. Ale co, u licha, miałam

jej powiedzieć? Że spędziliśmy fantastyczny dzień, a jego świetny humor nie wskazywał na to, że miał w planach… – Musisz coś wiedzieć! Poza tym jesteście dość blisko siebie, na pewno czasami ci się zwierza…

– Proszę pani, ja nic nie wiem… nie mam pojęcia, gdzie może być Daniel…

– Czy mówił ci o jakimś… wyjeździe? On wziął ze sobą wszystko. WSZYSTKO, Nilu. Jakby nie miał zamiaru tu nigdy wracać…

– Nie wspominał mi o żadnym wyjeździe…

– Nilu, nie rozumiesz? To dla jego dobra! Jest godzina dziesiąta trzydzieści… a kto jak kto, lecz ty dobrze znasz nasze zasady: śniadanie jemy wszyscy razem… wszyscy członkowie wspólnoty, jaką tworzy nasz sierociniec… Daniel też je znał. Tymczasem on nie pojawił się nie tylko na tę nieszczęsną godzinę śniadania – ósmą, lecz nie ma go do tej pory… – jej głos zaczynał niebezpiecznie drżeć – Nilu, możesz mi zaufać. Obdzwoniliśmy już kilka hoteli i przytułków w okolicy Orłowa, a jego ani śladu, więc powiedz mi dziecko, gdzie on jest?

– Nie mam zielonego pojęcia – odpowiedziałam, czując łzy pod powiekami. Tak, jak mówiła pani Knur, wszystko wskazywało na to, że Daniel uciekł z sierocińca. A jeśli uciekł, to znaczy, że już nigdy tu nie wróci. Tak było z większością… zdecydowaną większością.

– Wiesz, że później nie będzie cienia szansy na odnalezienie go?! – wrzasnęła do telefonu.

– Rusz mózgownicą, dziewczyno! Chyba, że z nim jakoś współpracujesz…

Nie chciało mi się dłużej słuchać tej fałszywej jędzy. W ogóle nie obchodziło jej szczęście Daniela, po prostu, gdyby się okazało, że uciekł, byłby to już dziesiąty przypadek w jej ośrodku.

– Nie mam z tym nic wspólnego, nie rozumie pani?! – odkrzyknęłam. – NIC O TYM NIE WIEM!

– Jak ty możesz… że też rodzice pozwalają ci odzywać się w ten sposób do starszych! Gdybym była twoją matką…

– Cóż, na szczęście pani nią nie jest! – odwiesiłam słuchawkę i usiadłam, dysząc ze zdenerwowania. Patrzyłam nieprzytomnym wzrokiem przed siebie. Nie mam pojęcia, ile to trwało…

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam z tamtego dnia, było to, że w amoku wybiegłam na dwór. Deszcz siekł coraz mocniej, ja zaś, mimo lodowatych kropli, które przenikały aż do kości, i ludzi gapiących się na mnie jak na osobę chorą psychicznie, skierowałam się w stronę domu dziecka. Zatrzymałam się kilkadziesiąt metrów od szarego, w tych warunkach prawie niewidocznego muru i wybuchnęłam płaczem. Musiałam TO z siebie wyrzucić. Przecież Daniel nie uciekł, to niemożliwe! Przecież miał być przy mnie, miał prowadzić mnie za rękę przez całe życie, bronić mnie, radzić mi, pocieszać, żartować…

Jakby na spotęgowanie melancholii zdarzenia, zaczęły bić dzwony kościelne. Biły bardzo długo, najwyraźniej ktoś umarł… ja zaś uklękłam na trawie przed murkiem i, dławiąc się wielkimi łzami pomieszanymi z deszczem, spróbowałam wypowiedzieć imię swojego chłopaka. Nie mogłam… Cała twarz mnie piekła, a oczy napuchły. Klęczałam jednak dalej

i zastanawiałam się, czy i we mnie coś nie umarło… Nie chciałam znajdywać odpowiedzi na to pytanie. Wiedziałam tylko, że nie chcę, by umarło i bez walki nie pozwolę, aby tak się stało…